

• 21.02.2016 13:45

Rocznica śmierci Zdzisława Beksińskiego. „Synu, ty umrzesz, a twoje wstrętne dzieła gorszyć będą jeszcze pokolenia”



Fot. FOTONOVA

Mija 11 lat od śmierci [Zdzisława Beksińskiego](#) - jednego z najśłynniejszych i najoryginalniejszych polskich malarzy i twórcy cenionych na całym świecie artystycznych fotografii. Jego prace do dziś są powszechnie rozpoznawalne, a wielu uznaje je za wyjątkowe. Redaktor portalu ulture.pl napisał o nim, że *"był jednym z nielicznych artystów, który na początku lat 60. świadomie porzucił dziedzictwo awangardowe poszukując syntezy różnych stylistyk"*. Beksiński był indywidualistą, który nie przejmował się konwenansami i ludzie to doceniali. Los jednak nie oszczędził mu

dramatów. Przeżył śmierć żony i samobójstwo jedyne go syna, a w nocy z 21 na 22 lutego 2005 roku padł ofiarą morderstwa z powodów rabunkowych.

By uczcić pamięć wybitnego artysty, przypominamy fascynujący wywiad, którego udzielił "Vivie!" w 2003 roku.

POLECAMY: "Zło jest tu namacalne", "Fenomenalna". "Ostatnia rodzina" triumfuje na festiwalu w Gdyni! ZWIASTUN

Zdzisław Beksiński po śmierci żony i syna

- Ależ nafaszerował Pan elektroniką mieszkanie. Co krok coś miga, informuje o temperaturze, dacie, godzinie.

Zdzisław Beksiński: Rodzaj hobby... Uwielbiam wszelkie urządzenia, które można programować. Syn zawsze ze mnie kpił, że ten dom jest nie do wytrzymania. Bez przerwy piskają bipery, dzwonią alarmy. Obecnie w każdej dziedzinie polegam na komputerze. Jeżeli coś nie jest zanotowane w palmtopie, nie zadzwoni w odpowiednim momencie, nie wyświetli komunikatu, kompletnie zapomnę, że coś miałem zrobić...

– Wspaniały komputer, szkoda, że gotować nie potrafi?

Zdzisław Beksiński: Nie musi. Są trzy filary fajnego jedzenia: hamburgery, keczup i cola.

– Keczup zawierający likopen jest cenny, szczególnie na prostatę u mężczyzn, ale tłuste mięso i coca-cola? Zgroza!

Zdzisław Beksiński: Ach, tym, co mówią: „Beksiński, to się źle skończy”, odpowiadam, że dobrze skończyło się tylko dla Pana Jezusa, bo wniebowstąpił, i dla Matki Boskiej, bo została wniebowzięta. Poza tym dla wszystkich innych skończyło się źle, więc nie będę wyjątkiem. A z prostatą – jak na ironię – właśnie teraz mam problemy. Elektronikę natomiast uwielbiam w każdej sferze życia. Obecnie palmtop wyręcza mnie we wszystkim. Ma w swojej pamięci zapisane: pidżamę zmienić i wyprać dnia tego i tego, bielizna pościelowa wtedy, ostrzyć się

wtedy... I on mi piszczy, gdy termin się zbliża. Żona powiedziała mi, co i jak często należy zmieniać i prać, bo sam bym tego nie wiedział.

– Kiedy udzieliła Panu tych instrukcji?

Zdzisław Beksiński: Kiedy już wiedziała, że może w każdej sekundzie stracić przytomność i po chwili umrzeć. A żyła trzy lata z wyrokiem śmierci, który brzmiał: „Tętniak aorty na obszarze piersiowo-brzusznym”, i w tym okresie nie był operowany rutynowo w Polsce. Najbliższy szpital, który to robił, był w Berlinie, a najlepszy – w Houston, jednak także tam było 15 procent śmiertelności i 15 procent paraliżu pooperacyjnego dolnej połowy ciała. W Berlinie chciano ją operować, ale ona nie bała się śmierci, bała się paraliżu.

– Namawiał Ją Pan na operację?

Zdzisław Beksiński: Oczywiście, ale w pewnych granicach. Miała prawo nie chcieć, to było jej życie... Kategorycznie odmówiła operacji, gdy dowiedziała się o ryzyku paraliżu.

– Brakuje Panu jej obecności?

Zdzisław Beksiński: Byliśmy razem od czasu studiów, z tym że ona studiowała romanistykę. Jeżeli z kimś przeżyło się 50 lat, to już nie można go zapomnieć i nie da się go zamienić na kogoś innego. Zanim to się faktycznie stało, w ogóle nie umiałem wyobrazić sobie, że można będzie potem żyć samemu, to było nie do pojęcia.

– I można żyć samemu?

Zdzisław Beksiński: Widać mam pewną odporność, homeostat, który pozwala mi funkcjonować. To było i dla mnie duże zaskoczenie. Byłem przekonany, że w ogóle tego nie udźwignę. Natomiast najbardziej mi brak – choć zabrzmiał to może śmiesznie – naszego rodzinnego kodu wewnętrznego. Gdy ludzie żyją całe lata razem, wytwarza się tyle powiedzeń, przezwisk dotyczących znajomych, nawiązań do przygód i zdarzeń z czasu studiów. Rzucano się hasła i... wiadomo było, o co chodzi. Wystarczyły dwa słowa, aby się porozumieć. Nagle po śmierci żony i syna jest to już martwy język.

– A bliskości Panu nie brakuje?

Zdzisław Beksiński: Droga pani, nie cierpię publicznie pograżać się w sentymentalizmie. Gdy jakiś czas temu przejadłem się wieczorem całym pudłem ciastek, które przyniosły mi znajome panie, a że jestem potwornie łakomy, więc nie umiałem sobie odmówić, to potem wśród nocnej ciszy rzygałem wielokrotnie do umywalki w zupełnej samotności, lękając się, że za chwilę wybije moja ostatnia godzina, padnę i znajdą mnie dopiero wtedy, gdy zacznę przesiąkać przez strop do sąsiadów. Uzmysłowiłem sobie wówczas, o ile lepiej jest rzygać, gdy kobieta załamuje nad człowiekiem ręce. W niczym konkretnym to nie pomaga, ale zapewnia spory komfort. Człowiek jest cholernym aktorem! Potrzebuje widowni! Z czasem jednak zacząłem sobie cenić pewne walory samotności. Choćby brak odpowiedzialności. Dawniej wyobrażałem sobie zawsze, że żona mnie przeżyje, że muszę zabezpieczyć jej przyszłość. Teraz jestem panem samego siebie. Zjawił się natomiast lęk przed samotnym umieraniem. No, ale wszystko dla ludzi. Dam sobie z tym radę. Na piątkę z plusem lub na trzy minus, ale repetować na pewno nie będę.



•Fot. Muzeum Historyczne w Sanoku

Zdzisław Beksiński "Bez tytułu", 1984

Beksiński: Natura jest ohydna!

– Podobno nie lubi Pan niczego, co ma związek z fizjologią, nawet naturalnych zapachów. Owoców, kwiatów też?

Zdzisław Beksiński: Szczególnie zapachu perfum nie znoszę, ale kwiatów też. Ja w ogóle chyba nie lubię natury, od dzieciństwa las mnie deprymuje.

– Ale dlaczego?

Zdzisław Beksiński: Bo ja wiem? Wrzeszczą te cholerne ptaki, śmierdzą grzyby, igliwie, poszycie i reszta. Gdzie człowiek siądzie, zaraz jakieś paskudztwo na st nogach spod liści wyłazi. Natura jest ohydna! Las bym pewnie zaakceptował, pod warunkiem, żeby wyciąć te cholerne drzewa, wyasfaltować wszystko, postawić McDonalda, sklepy i kino, fotografa z niedźwiedziem... No i postoje taksówek, a już las stałby się miłym miejscem do zaakceptowania.

– Ależ Pan sobie ze mnie żarty stroi.

Zdzisław Beksiński: Nie, taki jestem, naprawdę... No, może trochę przesadzam...

– A propos fizjologii... Podobno nigdy nie lubił Pan, jak się Go dotyka?

Zdzisław Beksiński: Nie lubię tego słowiańskiego niedźwiedzia, obcałowywania przy każdej okazji w stylu pierwszych sekretarzy bratnich partii na lotnisku. Mam kolegów, którzy przy powitaniu rzucają się na mnie i zaczynają oblizywać. Nie znoszę tego, ale cóż mam zrobić? Przecież oni tak z dobrego serca...

– Kiedy zauważył Pan u siebie tę niechęć do fizjologii?

Zdzisław Beksiński: Aż tak siebie nie analizuję, ale... może wtedy, gdy zobaczyłem poród kota. Dla mnie oglądanie porodu człowieka wiązałoby się potem z kompletną niemożnością do współżycia z osobą rodzącą. Nie wiem, kto te rodzinne porody wymyślił, pewnie ludzie dobrej woli napędzani przez political corectness. Są niestrudzeni w wymyślaniu takich prymitywnych głupstw, chcąc nimi uszczęśliwić świat. Na szczęście w mojej młodości jeszcze nie było takich pomysłów, bo chyba bym stracił przytomność. Na swoją własną krew jestem jednak niewrażliwy. Jeżeli ze mnie leci, myślę tylko racjonalnie o tym, że trzeba krwotok opanować, bo za chwilę mogę zemdleć. Znam to uczucie. Mdałem w dzieciństwie bardzo często, chyba dlatego, że za szybko rosłem. Potem nauczyłem się mdleć na zawołanie, wiedziałem, co trzeba zrobić; wspaniała umiejętność w szkole, gdy się było nieprzygotowanym. Wiedziałem, że muszę trzymać głowę nisko. Jak nauczycielka wyrwie, trzeba się zerwać, gwałtownie

wyprostować, a wtedy zrobię się biały i według wszelkich przewidywań rąbnę o ziemię.

– Często Pan tę sztuczkę stosował?

Zdzisław Beksiński: Zdarzało się. Uczniem byłem takim sobie, miernym. Ksiądz w gimnazjum – jak się potem dowiedziałem – miał komuś powiedzieć: „Beksiński to dobry chłopak, ale tępy”.

– Z czego się ta okrutna ocena wzięła?

Zdzisław Beksiński: Z niewłaściwego dowodu na istnienie Boga. Na domowe zadanie z religii każdy miał wymyślić dowód na istnienie Boga i ja dziecinnie, ale uczciwie nad tym rozmyślałem i doszedłem do wniosku, że dowodem jest ból zęba. Wyszedłem z założenia, że w trakcie ewolucji gatunki, które nie miałyby nerwów w zębach, byłyby najbardziej uprzywilejowane. Wobec tego to dowód przemawiający przeciwko ewolucji, a więc za istnieniem Boga. Ksiądz pragnął jednak usłyszeć eksplozję emocji w stylu: „Któż, jak nie Bóg, stworzył te wspaniałe lasy, te wszystkie gwiazdy, tęczę na niebie” i tak dalej. Koledzy, którzy poszli na tę łatwiznę, dostali piątki, a ja usłyszałem tylko: „Beksiński, siadaj”.

Kiedy zaczął malować?

– Kiedy w Pana życiu pojawiło się malarstwo?

Zdzisław Beksiński: Od najmłodszych lat malowałem, byłem nawet klasowym „wunderkindem”. Rysowałem oficjalnie uwspółcześnione, ale zrywane z Grottgera sceny partyzanckie, a ponieważ „Playboy” wtedy nie istniał, więc wykonywałem też nieoficjalnie rozmaite rysunki, które zdobyły aplauz u kolegów, ale nie u księdza. Był pierwszym, który się na mnie naprawdę poznał, grzmiąc z ambony w trakcie rekolekcji: „Jest tu jeden taki między wami, który robi takie ohydne rysunki”. Ławki w kościele zaczęły trzeszczeć, inni uczniowie obracali się w moim kierunku: „Synu, ja ci przepowiadam, ty umrzesz, a twoje wstrętne dzieła gorszyć będą jeszcze pokolenia”.

– Cóż za piękna recenzja.

Zdzisław Beksiński: Właściwie pierwsza pozytywna.

– **Jako dziecko musiał być Pan niezłym rozrabiaką, o czym świadczy przygoda z niewypałem w rodzinnym Sanoku. Skończyła się uszkodzeniem dwóch palców. Mogło być gorzej. Palce potrzebne są nie tylko malarzowi.**

Zdzisław Beksiński: Rozbieranie porzuconej amunicji w trakcie trwającej jeszcze wojny było dla chłopców w moim wieku powszechną rozrywką, choć zajęć mi nie brakowało. Ojciec – były oficer armii Hallera – gonił mnie do uprawiania sportów. W trakcie pierwszej wojny nabawił się gruźlicy. Był w sanatorium w Mentonie, co podobno przysługiwało mu jako uczestnikowi wojny i tam, przy pomocy jakiejś francuskiej czy szwajcarskiej pielęgniarki, którą mu zawsze mama złośliwie lub raczej dobrotliwie wypominała, wyleczył się według własnego mniemania z gruźlicy, opalając się w górach wbrew zakazowi lekarzy. Zastaniał tylko twarz, żeby pozostała jasna i nie zwracała uwagi personelu medycznego. Opalił się podobno na murzyna. Był uparty, wszystko robił po swojemu. Był przekonany, że istnieje coś takiego, jak zdrowy tryb życia, a to, co naturalne, a także przykre, było w jego mniemaniu z zasady zdrowe. Było to skrzyżowanie religii z medycyną, bo jak wiadomo lekarzy i księży łączy to, że zakazują wszystkiego, co przyjemne, i nakazują wszystko, co niemiłe. Jak w ogóle ludzkość poradziła sobie z przetrwaniem, gdy nie było jeszcze medycyny i religii? Zagadka albo kolejny dowód na istnienie Boga.

– **Ojciec wypróbowywał na Panu swoje metody?**

Zdzisław Beksiński: Musiałem się kąpać w Sanie o świcie, gdy mgła stała na łąkach, a zza niej ryczały krowy. Musiałem, choć tego nie znośłem, jeździć na łyżwach, na nartach; w naszym ogromnym ogrodzie był drążek do podciągania się i akrobacji oraz skocznia do skakania o tyczce i na odległość. Tam też biegałem na 100 metrów i ćwiczyłem hantlami. Mieliśmy własny kort i musiałem grać w tenisa. Ze zdumieniem widzę, że dziś niektórzy uważają to za atrakcję! Dobry Jezu! Gdy ojciec umarł, pozwoliłem sobie gruntownie zniewieścić, po swojemu. Od wtedy do dnia dzisiejszego nie kąpałem się nigdzie poza wanną, zapomniałem o istnieniu nart, a tenis postrzegam jako rodzaj umartwiania się. Utyłem i zniewieściałem, ale żyję w zgodzie ze sobą. A może na przekór ojcu? Ojca jednak bardziej kochałem niż matkę. Tata, którego dziś postrzegam jako

Hansa Castorpa, chciał ze mnie uczynić twardziela, a mama – artystę przez wielkie „A”. Chyba mnie sobie wyobrażała jak jakiegoś Paderewskiego lub Liszta, przystojniaka z długim włosiem i ulubieńca pięknych kobiet. Wychodzi we fraku na scenę, siada przy fortepianie i uderza w klawisze... Tłukłem palcówki Bacha na pianinie, a na imieniny ojca musiałem przygotowywać utwory Schuberta. Cóż to za koszmarnie życie by mnie czekało! Gdy zapalnik urwał mi palce, byłem cały szczęśliwy. Cóż za niewielki koszt za uniknięcie męki bycia wirtuozem.

– Co Pana ojciec sądził o artystach?

Zdzisław Beksiński: Wie pani, ojciec, moim zdaniem, rysował dużo lepiej niż ja i marzył chyba o tym, by zostać architektem, tak jak dziadek, ale jakiś dureń z tytułem profesorskim na Politechnice Lwowskiej powiedział mu podobno, że my tu potrzebujemy artystów, a nie rzemieślników. Chyba od tego momentu ojciec się zawziął. Nigdy już nic nie rysował. Na dodatek chyba znieubił artystów, w czym wydatnie pomagali mu sami artyści, jako iż stykaliśmy się co roku w zimie z połową krakowskiej ASP w Poroninie, w pensjonacie mojej ciotki. Jej mąż był znanym kolorystą, no i artyści, którzy byli jego krakowskimi kumplami, ostro pili i rozrabiali, wyplacając się ciotce dziełami, które wisiały nawet w WC. Taki nieustający plener. Artyści to hołota – ojciec nigdy nie powiedział tego głośno, ale chyba tak sądził. I chyba zobaczył we mnie architekta, który zrealizuje jego marzenia. Zapewne nie byłem bez winy. Jako dziecko planowałem i rysowałem miasta idealne, gdzie w powszechnej szczęśliwości mieli wspólnie żyć ludzie mieszkający w takich samych i tak samo umeblowanych mieszkaniach, ubrani w jednakowe ubrania i mający wszystko po równo. Architektura nie miała z tym nic wspólnego. Chciałem uszczęśliwić ludzkość! Pragmatycznie nastawiony ojciec nie zauważył jednak, o co mi szło i argumentował: „Polska jest zniszczona, architekci będą mieli wspaniałe perspektywy”. Wtedy jeszcze nie było totalitaryzmu w wersji, która się zaczęła po roku 1949, zachowywano pozory demokracji. Ojciec liczył, że architekci będą mieli własne biura... „Będziesz doskonale zarabiał, ja cię zostawię z fachem w ręku, a jeśli przyniesiesz dyplom architekta, zafunduję ci szkołę filmową”, obiecywał, znając moje marzenia. Bo ja marzyłem o tym, by zostać reżyserem filmowym. Gdy już miałem dyplom architekta, musiałem odrabiać trzyletni nakaz pracy. W trakcie tego umarł ojciec, a ja już nie miałem najmniejszej ochoty na to, by zostać reżyserem. Demokracja

się skończyła, był to szczytowy okres socrealizmu i to, co w ogóle miało szansę powstać w zakresie kinematografii, w najmniejszym stopniu nie budziło chęci kreowania.

– Architektem też Pan nie został...

Zdzisław Beksiński: Zostałem, ale po odrobieniu trzyletniego nakazu pracy na placu budowy, gdy po śmierci Stalina pojawiły się pierwsze symptomy odwilży politycznej, rzuciłem pracę i postanowiłem malować, żyjąc z emerytury mojej mamy i pensji mojej żony. Dziś się tego wstydzę. Był to dla mnie bardzo ciężki okres, miałem wyrzuty sumienia... Najgorsze pod względem finansowym były lata na przełomie 50. i 60. Fatalne. Nawet na gazetę nie mieliśmy.

– Jest Pan usprawiedliwiony, pragnął zostać artystą.

Zdzisław Beksiński: To nie usprawiedliwia. Dziś najprawdopodobniej nie rzuciłbym architektury, choć nigdy nie miałem do niej zamiłowania. Ugiąłbym się i zdecydował, że moim obowiązkiem jest utrzymanie rodziny.



•Fot. Muzeum Historyczne w Sanoku

Zdzisław Beksiński "Bez tytułu", 1975.

Cynik, który gra świętego

– Na szczęście odniósł Pan sukces. Znalazłam Pana dane w informatorze „Who is who” wydanym w 1984 roku, w którym brak nazwisk wielu twórców. Pan nie gniewał się wtedy na władzę?

Zdzisław Beksiński: W minionym okresie na pewno nie byłem dysydem, raczej osobnikiem obojętnym politycznie. Nie mam przekonań politycznych i nigdy ich nie miałem. Nie składałem się z przekonań, tylko wątpliwości. Oczywiście realny socjalizm uważałem za tragikomiczny idiotyzm, ale myślałem, że jest to idiotyzm, w którym przyjdzie mi żyć do śmierci. Nie mam natury rewolucjonisty, ale uwielbiając życie z boku, nigdy nie chciałem być gratyfikowany przez żadną władzę – ani dawną, ani obecną. Tyle tylko, że dawna wiedziała, iż nie jest lubiana, więc była cokolwiek pokorna. Gdy chciała powiesić medal, to urzędnik najpierw dzwonił z zapytaniem, czy przyjmę. Ja mówiłem: „Panie, odsuń ode mnie ten kielich goryczy”. Słyszałem: „Tak, tak, wiemy, rozumiemy”. Guzik wiedzieli, bo akurat nie o to szło, co sobie myśleli, ale dawali mi spokój. A ja po prostu nienawidzę sytuacji oficjalnych. No i śmieszają mnie odznaczenia. Chcę i zawsze chciałem reprezentować sam siebie, a nie Naród, Partię, Ojczyznę czy Kościół. Łe się więc czułbym jako facet, któremu wieszają medal albo dają nagrodę. Brrr! Cholernie bałem się, że na 70-lecie zechcą mi coś zawiesić, ale jakoś mi się upiekło. Politycznie nie byłem prześladowany w tamtym ustroju, ale denerwowało mnie, że musiałem własnymi kanałami pozyskiwać książki, ściągnąć płyty, bo obaj z Tomkiem słuchaliśmy wtedy brytyjskiej muzyki pop. Gdy ktoś za granicą nie mógł zapłacić stosunkowo wysokiej sumy za obraz, płacił o wiele mniej, ale płytami. Dostawałem je nawet z Głównej Kwatery NATO w Belgii, od pułkownika Guido Baele. Przychodziły do „Warszawa 3” z nalepkami „Sklep wyłącznie dla kadry oficerskiej NATO”. Pod czujnym okiem ubeka rozpakowywaliśmy płyty. Poczciwiec sądził zapewne, że w kopertach mogą być instrukcje obalenia socjalizmu w Polsce. Raz na Okęciu musiałem nawet podpisać oświadczenie, że płyty CD z muzyką poważną nie zawierają treści godzących w podstawy ustroju PRL, a to z tego powodu, że miałem jeden z pierwszych odczytywaczy CD w Warszawie, a na Mysiej go jeszcze podobno nie mieli. „Proszę pana, to Schubert”, zaoponowałem nieśmiało. Usłyszałem na to: „Schubert czy inny ˚yd – ja go nie znam, pisz pan oświadczenie”. No i napisałem.

– Jeśli nie medale i odznaczenia, to jaki rodzaj uznania by Pana satysfakcjonował?

Zdzisław Beksiński: Gdy byłem młody, przejście do historii było dla mnie najważniejsze. Ale dzisiaj, gdy patrzę na wszystko z perspektywy księgi

Koheleta – „marność nad marnościami, wszystko to marność” – jestem raczej zrezygnowany.

– **I tak jest Pan we wszystkich encyklopediach.**

Zdzisław Beksiński: Zarzuca mi pani, że jestem cynikiem, który gra rolę świętego?

– **Odrobinę. A sprzedaż obrazu za milion dolarów?**

Zdzisław Beksiński: Niewątpliwie by mi poprawiła samopoczucie, nawet gdybym nie dostał ani jednego dolara, a dostał je właściciel obrazu.

Zabieraj, bracie, tego Hiszpana - z Beksińskim o sztuce

– **Co to jest doskonałość w sztuce?**

Zdzisław Beksiński: Któryś z moich uczonych przyjaciół powiedział, że piękno musi mieć jakąś skazę i nie powinno być doskonałe. Ja nie myślę tymi kategoriami. Nie wiem, co to jest doskonałość. Definicje nie są moją mocną stroną. Osobiście przez całe życie usiłuję znaleźć równowagę między ekspresją i harmonią.

– **Czego u Pana jest więcej: piękna czy ekspresji?**

Zdzisław Beksiński: Nie nazwałbym braku ekspresji pięknem. Ostrożnie z definicjami! Osobiście mam problemy z utrzymaniem się na tej perci i raz po raz staczam się – to na lewo, to na prawo.

– **Znam malarzy, którzy malują obraz w jeden dzień.**

Zdzisław Beksiński: W młodości potrafiłem namalować dwa w godzinę. W czym trudność? Zaczynałem jako wyjący ekspresjonista. Byłem wobec siebie bezkrytyczny.

– **Skąd depresyjne kolory Pana obrazów?**

Zdzisław Beksiński: Takie mi się podobają.

– Odzwierciedlają stan duszy? Po utracie wszystkich bliskich, malarstwo stało się rodzajem terapii?

Zdzisław Beksiński: W jakimś sensie malowanie zapewnia mi pozorny sens dalszej egzystencji. Bez niego pewnie nie miałbym już nic, ale z drugiej strony to, co maluję, nie oddaje stanu mojej duszy, moich przeżyć, a jeśli już, to nie w sposób bezpośredni. Każdy ma inną naturę, inne potrzeby. Obrazy są niezależne ode mnie i mojego nastroju.

– Nie wierzę, żeby samopoczucie nie miało wpływu na twórczość.

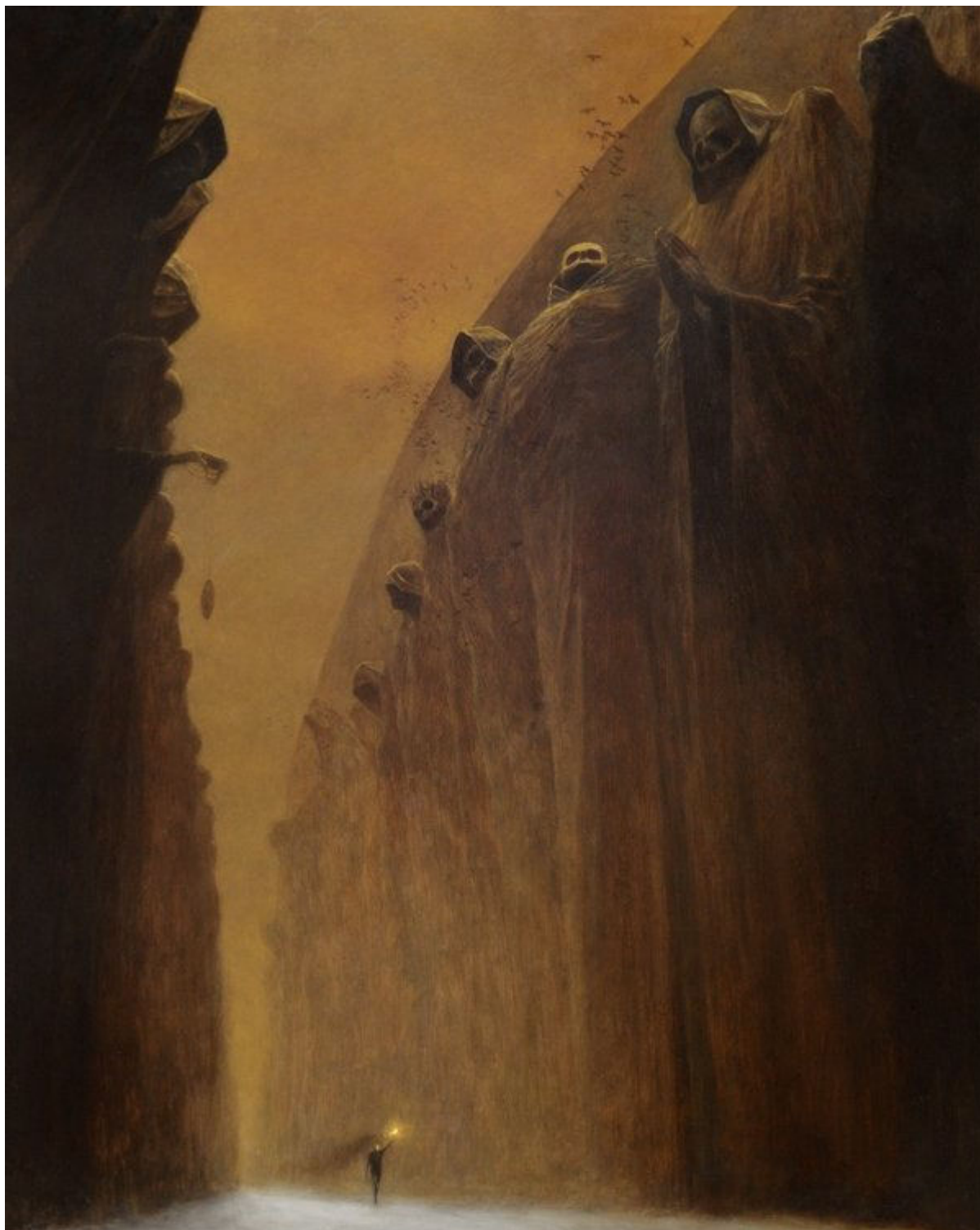
Zdzisław Beksiński: Obraz maluję cholernie długo, kilka tygodni. Trudno, żebym miał nieustannie ten sam nastrój. A to noga boli, a to ktoś stworzył sytuację, z której trudno się wykręcić, a to się przejadłem, a to znowu przydarzyło się coś komicznego.

– Interesuje Pana, co robią koledzy po pędzlu? Zwiedził Pan galerie malarstwa Europy Zachodniej?

Zdzisław Beksiński: Boże mój! Nie cierpię podróżowania. Nie byłem ani w Europie Wschodniej, ani w Zachodniej. Nie byłem nawet w Kielcach, Białymstoku czy w Toruniu. Poza tym nie lubię oglądać tego, co robią inni malarze. Unikam nawet oglądania albumów, które czasami ktoś mi przynosi, mówiąc: „Bo ten Hiszpan maluje podobnie jak ty”. Zabieraj, bracie, tego Hiszpana, bo nie chcę sobie psuć humoru.

– Malarze nie inspirują się nawzajem?

Zdzisław Beksiński: Mogę mówić o sobie. Oczywiście, że wszystko mnie jakoś inspiruje, a więc i twórczość innych malarzy, jeśli oczywiście ją poznam, bo jak powiedziałem: unikam tego.



•Fot. Muzeum Historyczne w Sanoku

Zdzisław Beksiński "Bez tytułu", 1972

Beksiński z wielkiej płyty

– Jak to się stało, że Pan, artysta wysublimowany, odnalazł swój azyl w standardowym wieżowcu z wielkiej płyty?

Zdzisław Beksiński: Lubię to mieszkanie jako takie, choć idealne nie jest. Student drugiego roku architektury nie dostałby zaliczenia, gdyby na ćwiczeniach przedstawił taki rzut. Koszmarny układ, idiotyczne wejście, korytarz jak kiszka, małe pokoje, drzwi, które się zderzają... Tylko takie mogłem nabyć w 1977 roku przez spółdzielnię Locum, kupując sobie jednocześnie meldunek warszawski. Warszawa wtedy była miastem zamkniętym. A jak już się do czegoś przyzwyczaję, to siedzę. Nie lubię zmian. Nie mam natury mojego szwagra, który przez całe życie coś buduje. Tu też radził mi wszystko zmienić...

– Kuchnia pachnie świeżością...

Zdzisław Beksiński: Pojawiły się prusaki. Wpadłem w panikę. Jeszcze gdy syn żył, zrobiliśmy akcję, odkręcając w kuchni wszystko, co się dało. Strzelaliśmy w prusaki Raidem. Okazało się jednak – stosując terminologię Klausewitz'a – że wygraliśmy bitwę, ale nie wygraliśmy wojny. Dopiero gdy zmieniłem całą kuchnię na nową, wygrałem też wojnę. Zrobiłem sobie kuchnię starego kawalera, bez gazu i piekarnika, tylko z blatem grzejnym i mikrofalą do odgrzewania pizzy. Gdy pojawił się kolega z butelką dobrego wina z okazji moich imienin, nie było czym otworzyć butelki ani do czego nalać.

– W tym mieszkaniu mieszkał Pan z mamą, żoną i teściową.

Zdzisław Beksiński: W jednym pokoju ja z żoną, dwa pozostałe pokoiki były dla obu mam i największy jako moja pracownia. Tomek miał już swoje mieszkanie w sąsiednim bloku.

– Niezły babiniec.

Zdzisław Beksiński: Też wolałbym mieszkać w willi nad morzem z Alicją Silverstone, ale nie zawsze ma się to, co się lubi. Jestem człowiekiem, który dostosowuje się do sytuacji. Zabranie do siebie mamy i teściowej to nie była przyjemność, tylko obowiązek.

– ...nie wszystkich zięciów. Taką cechą nazywa się przyzwoitością.

Zdzisław Beksiński: W uczynkach staram się być przyzwoity, a za to w marzeniach jestem skrajnie nieprzyzwoity, a nawet – strach powiedzieć – zboczony.

– **A w twórczości?**

Zdzisław Beksiński: Kiedyś namalowałem obraz nieprzyzwoity w celach chwalebnych. Córka mego przyjaciela Jurka już drugi rok nie mogła się dostać do ASP w Krakowie. Dla Andrzeja Banacha, który obiecał pomóc w tej sprawie, a był między innymi kolekcjonerem i koneserem sztuki erotycznej, namalowałem wielkie dzieło: smukła brunetka w czarnym staniku, ale bez majtek, podrzyna rzeźnickim nożem gardło facetowi przywiązanemu do słupka. Krew sika jak na obrazach Riepina. Usatysfakcjonowałem tym raczej swoje skryte zachcenia niż Andrzeja, którego wyobraźnia erotyczna była bez porównania bardziej idylliczna. Podpisałem dzieło nieortograficznie: „Andrzejowi, na pamiątkę akcji curka Jórka – Bexiński”. Powiesił to u siebie w Witowie, a potem mnie poinformował: „Górale żegnają się przed tym obrazem, bo myślą, że to święta”.

– **„Córka Jurka” dostała się na studia?**

Zdzisław Beksiński: Dostała, zdolna osoba. Czyn zbożny.

Zdzisław Beksiński o synu

– **Czy Pana syn Tomek był do Pana podobny?**

Zdzisław Beksiński: Fizycznie tak, psychicznie nie... Niektórzy twierdzą, że na człowieka wywiera piętno moment, w którym się urodzi, a ponieważ on był Strzelcem, zaś ja Rybą, więc podobno nie mieliśmy szans na porozumienie. Mnie się wydaje, że mogliśmy się porozumieć, chociaż mieliśmy swoje własne światy. Tomek dominował; może to ja zawiniłem, bo nigdy niczego mu nie zakazywałem. Mówił, co chciał, robił, co chciał. Wszystko jawnie czytał, cokolwiek wziął do ręki, nie wyłączając pornografii. Mnie wszystkiego zakazywano, więc powiedziałem: „Żadnych zakazów nie będzie”. Mógł palić i kłać, co wprawdzie nie uczyniło ze mnie drugiego Makarenki, ale w odniesieniu do Tomka okazało się

eksperymentem nad wyraz skutecznym, jeśli idzie o późniejsze efekty w tym zakresie. No cóż: był rozpuszczony pod wieloma względami.

– **Lubił Pana obrazy?**

Zdzisław Beksiński: Nie lubił tych z późniejszego okresu, uważał, że są niewiele warte. Brał sobie te, które mu się podobały, z wczesnego okresu, który cenił. Nie prosił, by mu podarować, brał sam, mówiąc: „Ten sobie biorę”.

– **Jakie wybierał?**

Zdzisław Beksiński: Romantyczne pejzaże. Romantyczne, czyli wizjonerskie, dramatyczne, dziwaczne, groteskowe. Gdy zacząłem malować obrazy o formie mniej wizyjnej, przestały mu się podobać.

– **Jakie dokładnie?**

Zdzisław Beksiński: Pamiętam oczywiście obrazy, które mu się podobały – obecnie wszystkie, zgodnie z jego ostatnią wolą, znalazły się w Muzeum w Sanoku. Ich reprodukcje są w moim nowym albumie „Beksiński 2”, na przykład odlatujący balon z napisem „never more”. Uwielbiał Edgara Alana Poe. Wziął sobie też obraz, którego nie lubiłem: na oddzielnych słupach siedzą postacie, samotne rodziny i palą ogniska. Ludziom szukającym literackich odniesień podobał się. Albo taki: na wybrzeżu czerwony ptak leży na wznak, nad nim wygwieżdżone niebo i odrealnione fale, na brzegu leżą rozmaite precjoza. Mój kumpel Henryk Waniek powiedział: „To wygląda jak plaża we Włoszech, którą opuścili niemieccy turyści, porzucając opakowania z czopków, których zwykle używają przeciw obstrukcji”.

– **Co oznaczał czerwony ptak?**

Zdzisław Beksiński: Był symbolem wyobraźni i fantazji.

– **Aż nie wierzę, że udało mi się namówić Pana do opowiadania treści własnych obrazów. Podobno nie powinno się tego robić, tak jak opowiadać filmów, tylko je oglądać. Znajoma obejrzała Pański obraz w modnej galerii i zawyrokowała: „To moje życie”. Było na nim rozczłonkowane ciało kobiety w szarych, smutnych chmurach. Tak na marginesie, za 30 tysięcy złotych.**

Zdzisław Beksiński: Boże! Nie namalowałem w życiu rozczłonkowanego ciała. Zawsze, gdy ludzie opisują moje obrazy, zachodzę w głowę, o jaki obraz chodzi. W obiegu jest wiele obrazów z trzeciej ręki, nigdy nie potrafię z opisu ich poznać. Byłoby łatwiej, gdyby miały tytuły, ale nie lubię tytułować. Kiedyś z galerii zadzwoniła pani, że jacyś Niemcy chcą kupić mój obraz. Jaki? A ona: „Złote trumny lecą, umarli z nich wypadają”. „Cooo? Niech pani obróci obraz, czy tam na pewno jest mój podpis. Nie przypominam sobie, żebym coś takiego namalował”.

– Bez czego nie potrafiłby Pan żyć?

Zdzisław Beksiński: Bez słońca na niebie. Powłoka chmur mnie przygnębia. Matka zawsze o mnie mówiła „sonntagskind”, bo się jeszcze do tego urodziłem w niedzielę. Lenistwo usprawiedliwione.

– Jest Pan tolerancyjny wobec odmienności?

Zdzisław Beksiński: Mój syn uważał mnie wręcz za nazbyt tolerancyjnego. Trudno znaleźć kogoś bardziej ode mnie tolerancyjnego. Wyobrażam sobie świat naiwnie, jako agorę, na której wszyscy ze wszystkimi mogą sobie dyskutować. Pogląd skrajnie utopijny. Ja staram się wszędzie znaleźć myślących podobnie, ale ludzie uwielbiają szukać myślących odmiennie, po to, by od razu skoczyć sobie do gardeł... Wendeta dla mnie nie istnieje, a historia zaczęła się przed rokiem. Bebechy mi się obracają na ględzenie „o ojcach, dziadach i sztandarach, o bohaterach i ofiarach”.

– Sprawia Pan wrażenie człowieka pogodnego. To złudzenie?

Zdzisław Beksiński: Jeśli podejmiemy filozoficznie, to jestem skrajnym pesymistą. Ale dlaczego nie miałbym być pogodny? Widzi tu pani sprzeczność? Rozmawialiśmy często na ten temat z synem. Ponieważ prawie od dzieciństwa myślał o samobójstwie, to pragnąc go przekonać, że końca nie ma sensu przyspieszać, bo i tak nastąpi, posłużyłem się historyjką, jak to człowiek płynie łódką w kierunku wodospadu, który ją i jego pochłonie, a w łódce jest do wyboru kaktus i fotel. Czy ma sens, mówiłem, by w oczekiwaniu na nieuchronny koniec siedzieć przez cały czas na kaktusie zamiast na fotelu. Odpowiedział mi wtedy, że on nie widzi w ogóle sensu w beznadziejnym oczekiwaniu i wyskoczy z łódki.

To postawa zbyt heroiczna dla mnie. Wprawdzie samobójstwo traktowane bywa jako akt tchórzostwa, ale wbrew temu utartemu paradoksowi, który zaczął pełnić funkcję aksjomatu, bo ogromnej liczbie ludzi pozwala na interpretowanie własnego tchórzostwa jako odwagi – samobójstwo wymaga cholernej odwagi i mnie tej odwagi brakuje, chociaż jednym z najważniejszych bohaterów mej młodości był Martin Eden. Ja wiem, jak trudne to było dla Tomka, który od wczesnej młodości oswajał się z tą ideą i w końcu kilkakrotnie próbował, w coraz większym stopniu doskonaląc się na swych błędach. Po jednej z prób odratowano go wręcz cudem, gdyż był już w stanie śmierci klinicznej. Mieliśmy wielokrotnie okazję rozmawiać na temat tego, jak trudno jest podjąć ostateczną decyzję. Bardzo wielkie wrażenie robił na nim film z lat 70. „Znikający punkt”, gdzie aktor – jak twierdził – doskonale zagrał moment, w którym zapadła decyzja, od której nie ma już odwrotu. Powtarzam: ja nie mam odwagi. Mam mocno zakodowaną miłość do życia jako takiego. Patrzę na nie jak na rodzaj wirtualnej telewizji, buddyjskiego złudzenia, tym niemniej to wciąga, bo reżyser jest dobry. To gra komputerowa, którą trudno się znudzić. Przecież nie umiemy sobie nawet wyobrazić tak bliskiej nam rzeczy jak czas. W jakich kategoriach go określić? Co dzieje się z nami sprzed sekundy, co potem? Rozpada się wszystko i buduje w każdym ułamku sekundy od nowa, czy zostaje za nami z tyłu? Mamy na co dzień bardzo prostackie wyobrażenie czasu, nie przystające z całą pewnością do tego, czym w istocie on jest. Widzimy czas, który biegnie niczym wskazówka zegara, a może właściwszym byłoby porównanie go do nieruchomego obszaru cyferblatu? Wyobrażamy sobie, że posiadamy duszę, ale czy nie przeczy prostej logice pogląd, że coś mniejszego i ograniczonego zawiera w sobie coś większego i nieskończonego, i czy nie jest tak, że to dusza posiada nas? Jesteśmy jak płowiejąca powoli kolorowa fotografia własnej duszy. W końcu nic na niej nie będzie widać. Niestety, w naszym ruchomym czasie i w dostępnym nam obszarze rzeczywistości wszystko źle się dla nas kończy. Ale o tym już mówiłem.

Rozmawiała Liliana Śnieg-Czaplewska